NUMER 40. DNIA 14. PAŹDZIERNIKA 1906 ROKU. ROK XIV.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Tak smutny jestem...

Tak smutny jestem, jak ten las,
Co w mgłach i mroku szumi
I szalejące skargi swe
Żałobną nutą tłumi.

Tak smutny jestem, jak ten las,
Co ściąć go mają ludzie,
A on niebaczny śpiewa pieśń
O utajonym cudzie.

Tak smutny jestem, jak ten las...

FELIKS GWIŻDŻ.

Projekt reformy szkół średnich.

(Patrz: Muzeum, marzec i wrzesień 1906).

Wobec gruntownych zmian, jakie zaszły w ostatnich czasach na wszystkich polach naszego życia umysłowego, dzięki nowym warunkom społecznym i prądom duchowym, ogarniającym coraz szersze warstwy narodu, stała się kwestja reformy naszego szkolnictwa jedną z najbardziej piekących i najbardziej bolesnych kwestji. W czasie stałego wzrostu odrodzenia i uświadomienia szerokich mas społecznych, każda instytucja ma do wyboru dwie drogi: może albo zastosować się do nowego życia, tworzyć je dalej i rozwijać, albo też oddzielić się chińskim murem od reszty świata, przewegetować nędznie czas jakiś i — zginąć. Nasze szkolnictwo stanęło w ostatnich czasach wobec tego ciężkiego dylematu: Być, albo nie być: być twórczem, słonecznem centrum, budzącem życie — albo stać się skrzepem, wegetującym w ciele społeczeństwa i utrudniać mu wzrost i rozwój.

Szkoła nasza błędną jest już w swojem założeniu, w swych najistotniejszych fundamentach; jest bowiem zbyt kosmopolityczną, zbyt ogólno ludzką. „Zarys organizacyjny“ tworzący doskonały schemat austrjackiej szkoły, jej kościec istotny, jest sumą najogólniejszych doskonałości pedagogicznych; jest typem szkoły w ogóle. Szkoła pozytywna, szkoła, mająca istnieć rzeczywiście, musi uwzględnić coś więcej: musi pamiętać o tem, że Polak, Francuz, Niemiec jest nietylko samym człowiekiem, ale i przedstawicielem pewnej narodowości, sumą pewnych specjalnych uzdolnień rasowych, wytworzonych na tle swoistych warunków zewnętrznych i wewnętrznych. Krótko mówiąc, szkoła nasza nie uwzględnia pierwiastku narodowego.

Unarodowienie szkoły jest dzisiaj hasłem ogólnem, przyjętem gorąco przez wszystkich zwolenników reformy. Hasło to należy pojąć jak najwszechstronniej. Nie oznacza ono tylko pomnożenia w naszych zakładach godzin nauki języka polskiego, większego uwzględnienia rzeczy polskich, koncentrowania wokół nich całego wychowania: nie oznacza tylko budzenia uczuć patrjotycznych w sercu młodzieży, lub — broń Boże — wykładania jakichś specjalnych „prawd“ polskich, nieznanych innym narodom, jakby to pan Lutosławski sobie życzył: hasło to opiera się przedewszystkiem na słusznym postulacie: przystosowania metody nauczania i wyboru przedmiotów do wymogów psychiki dziecka polskiego.

Tyle w kwestji unarodowienia szkoły, kwestji niezawsze jasno pojmowanej, więc spornej. Zaznaczyć przytem należy, że szkoła średnia galicyjska nietylko nie spełnia zadań narodowo-wychowawczych, ale nie jest także i tem, czem mogłaby być według planu „Zarysu organizacyjnego“. Dokoła poszczególnych nici przewodnich powstała masa urzędowych notat, uwag, komentarzy, nowel, które niejednokrotnie zdołały przyćmić myśl pierwotną. Wzięta w tryby biurokratycznego pedantyzmu, bezdusznej prawidłowości,

suchego paragrafu, wygodnej systematyczności biurowej, obca naszej polskiej glebie, obca duszom naszym — zamierała ta szkoła powoli i spełniając swe zadanie jak zegarek, mechanizowała uczniów, mechanizowała profesorów, zabijając wszelką myśl lotniejszą, wszelki poryw samodzielniejszy, uniformowała mózgi w pewien z góry przewidziany schemat i — wyrzucała na bruk corocznie setki udyplomowanych głów — bez duszy, setki jednostek prawowiernych o zmarniałem życiu wewnętrznem.

Popatrzmy tylko, jakiem życiem ona żyła, ta nasza szkoła, w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu! Sfabrykowała całe zastępy urzędników, nauczycieli, lekarzy, księży, cały ten tłum szary, do niedawna jeszcze niemy i posłuszny. A jeśli były w owym okresie czasu jakie jednostki dzielniejsze, nad zwykły poziom wyrastające, to chyba dzięki temu, że zdołały własną dłonią wyrwać z piersi kiełkujący jej zasiew. Aby wyróść, zajaśnieć — trzeba było w sobie zabić szkołę.

Takie to stosunki były do niedawna; mimo tego szkoła „szła“ regularnie i posłusznie. Dopiero w ostatnich czasach uczuliśmy nagłą zmianę. A przyniósł ją na swych skrzydłach powiew wiosny ducha, idący od Zachodu i Północy. W szeregi nauczycielskie wstąpili ludzie współcześni, szermierze idei, wytrwali pracownicy „jutra“. Galicyjskie Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych zmieniło odrazu barwę. I rozpoczęła się walka o szkołę — o szkołę żywą, o szkołę polską, o szkołę dzisiejszą.

(C. d. n.).

Ślep.

Arystofanes.

Arystofanes z Kydatenei, największy poeta komedji, jakiego ludzkość wydała, zwany przez Platona kochankiem Charyt, żył i tworzył w Atenach bezpośrednio po śmierci Peryklesa, w czasach tak zwanej przez historyków „ochlorakcji“ ateńskiej. Jest to chwila żywiołowego rozpętania wielkich indywidualności rewolucyjnych na wszelkich polach twórczości, teren rodzenia się i krzewienia wszystkich mocy późniejszej olbrzymiej kultury hellenistycznej, dzieje Sokratesów, Eurypidesów, Hyperbolosów, Alcybiadesów i Kleonów, lata bajecznych demagogów i fantastycznych polityków, którzy wedle powszechnego sądu sprowadzili upadek starożytnej republiki greckiej. Służą oni za najłatwiej odstraszający, bo najbardziej bijący w oczy swą wspaniałą plastyką argument konserwatystów wszystkich czasów i odcieni przeciw instytucjom konstytucyjnym. Jednak przy bliższem badaniu tych czasów, a zwłaszcza gruntowniejszem poznaniu dziejów i zasad politycznych państwa ateńskiego (n. p. studja Moellendorfa-Willamowitza), dochodzimy do przekonania, że niejedna z osławionych aż do kształtów szablonu postaci tych czasów, zwłaszcza ów czarny charakter historji starożytnej, garbarz-demagog, Kleon, w rzeczywistości przedstawia się nieco inaczej, niż przekazała nam tradycja, a przyczyny upadku wolności greckiej leżały częstokroć poza sferą działalności owych niepospolitych ludzi. Największym zniesławicielem i karykaturzystą przytoczonych wyżej imion i całej demokracji ateńskiej był — geniusz Arystofanesa. On to w szeregu arcydzielnych komedji wyrzeźbił te postaci dłutem własnych nienawiści politycznych, z pańską fantazją tchnął w nie jakieś nienormalne, okrutnie humorystyczne życie i dał im dziwostworne oblicza o niezatartych przez wieki, potwornych rysach karykatury, włożył w ich usta nieludzko śmieszne, nikczemne słowa, a wszystkim swym racjom nadał nieśmiertelny wyraz prawdy artystycznej i — szczerego przekonania. I nie omylił się ten większy artysta, niż arystokrata: sąd jego artystyczny zaciążył na opinji historycznej całych stuleci. Tylko, że Sokrates miał na szczęście dostojnie wdzięcznych uczniów, jak Plato i Ksenofon, którzy umieli roztoczyć przed potomnością wzruszającą do głębi serca rewizję swego mistrza; Eurypidesa po dziś dzień bronią wielkie karty jego tragedji. W polityce niemasz trwałości, a tembardziej wdzięczności: Kleon i demokracja ateńska nie mieli obrońców... Eupatryda z przekonań, fanatycznie przywiązany do rycerskiej tradycji zwycięskich nad Persami ojców, do ich surowej a mądrej cnoty i niezachwianej wiary w starych bogów, był Arystofanes całe życie zwolennikiem przymierza ze Spartą, tak, jak lud ateński, nienawidzący tej wieczyście nadętej w swym arystokratyzmie współzawodniczki, tak skwapliwie narzucającej mu oligarchów, miał tysiąc uzasadnionych powodów walczyć z nią bez przerwy, na śmierć i życie. Sprawa zbyt znana, gdyż walka ta jest ideowym wątkiem dziejów Grecji starożytnej. Najciekawsze jest, że Arystofanes, będący najbardziej typowym wyrazicielem temperamentu attyckiego, całe życie poświęcił na zwal-

czanie tego temperamentu u swoich współobywateli, gdy... szło o sprawy polityczne. W komedjach swoich ośmiesza wszystkich i wszystko, co miało związek z rządami „demosu“; chłoszcze nielitościwie zapał wojowniczy Ateńczyków i ich brak kwalifikacji w tym kierunku w trzech z rzędu przewybornych farsach „Acharneńczycy“, „Lizystrata“, „Pokój“; w postaci Paflagończyka-Kleona („Rycerze“) zniesławia na wieki typ demagoga politycznego, w „Chmurach“ oczernia genjalnie Sokratesa i wszystkich apostołów nowych prawd, w „Żabach“ i „Tesmoforiadzuzach“ podkopuje sławę i moralny kredyt Eurypidesa, w„ Osach“ wreszcie wytyka swoim współobywatelom nałogową procesomanję. Czyni to wszystko jawnie, po nazwisku, z jakąś olimpijską bezczelnością, a lud ateński wysławia te komedje; z homerycką serdecznością wita karykatury: swoją i swych bożyszcz, przejmuje się ideą arystofaniczną i szałem śmiechu i oklasków darzy bajecznego oszczercę. Poeta, nienawidzący rządów ludowych, przyjmuje z entuzjazmem te oklaski, w boskiem upojeniu gra na najniższych instynktach tłumu i ...jest w wybornem porozumieniu ze swoją publicznością. — Sytuacja iście republikańska, możliwa tylko w Atenach! — — Arystofanes, jako twórca, jest niezrównanym talentem malarsko-scenicznym, jest też genjalnym eksperymentatorem pomysłów techniczno-kompozycyjnych, przy niesłychanie prostej i przejrzystej budowie swych dramatów. (Pod tym względem ciekawe byłoby zestawienie go z naszym Wyspiańskim). Olśniewa fantastycznością pomysłów scenicznych i sytuacyjnych, przepyszną groteskowością djalogów o niezrównanej argumentacji, wynikającej często z samej gry wyrazów, a mimo to dotykalnie przekonywującej, tworzy tysiączne, złożone nieraz z wielu wyrazów, epiteta, o dziesięciu odcieniach myśli, czaruje cudowną rzeźbą strof i bogactwem stylu. W swoich pieśniach i parabazach jest on stanowczo największym i najserdeczniejszym lirykiem Grecji starożytnej. Natura rozległa, przebogata, umiejąca wznieść się z najniższych zaułków trywializmu i karykatury na najświętsze wyżyny wzniosłości, jako psycholog celuje prawie demonicznem znawstwem duszy ludzkiej. W komedjach swoich stwarza zazwyczaj środowisko i zdarzenia utopijne, jednak z królewskim przepychem obserwacji życiowej wykończa rysy swych postaci i nadaje im piętno bezwzględnej rzeczywistości. A jego styl! Styl to o jakiejś tęczowo mieniącej skrętności i elastyczności, a zarazem bujnej jędrności, o niepokalanym dźwięku narzecza jońskiego, w które poeta umie po mistrzowsku wplatać szlachetne archaizmy i rozliczne wyrażenia, wzięte z gwary ludowej lub innych djalektów. W żadnym chyba języku nie podobna oddać szaleńczych kojarzeń różnolitych pojęć i tej świetlistej metaliczności rytmicznej, która łyska i szydzi arystokratycznie w akordach stylu Arystofanicznego.

Największem arcydziełem Arystofanesa są bezsprzecznie „Ptaki“. Imponują ogromnym pomysłem rewolucyjnym, wielką ideą organizacji społecznej i wspaniałem wykonaniem. Powstała ta komedja w czasach z pewnością najsmutniejszych dla Aten, w czasach strasznej katastrofy sycylijskiej, kiedyto najświetniejsza flota i największe wojsko, jakie kiedykolwiek wystawiły Ateny, uległy zupełnej, tragicznej zagładzie. Wówczas to zapanowały w mieście niebywałe stosunki, spowodowane szałami niepokoju i podejrzliwości ludu: z dnia na dzień sypały się oskarżenia i denuncjacje sykofantów, padały gęste wyroki śmierci i bez przerwy odbywały się egzekucje. Nikt nie był pewny mienia ni życia. Te stosunki są dla Arystofanesa wyjściem w cudny świat baśni, będący treścią tej fantastycznej komedji. Oto dwaj Ateńczycy, urodzeni „bez plamy“, tubylcy od pradziadów, nie mogąc wytrzymać w Atenach, postanawiają udać się na poszukiwanie jakiegoś miasta, gdzieby było „zaciszniej“ niż w Atenach, a przedewszystkiem bezpieczniej. Czynią to tem skwapliwiej, że są nękani przez wierzycieli... Ale dokąd mają się udać w tym wypadku oni, obywatele Aten, miasta w całym ówczesnym świecie najbardziej kulturalnego i najwięcej dającego każdemu wolności osobistej? Oczywiście nie wiedzą. Zakupują tedy dwa ptaki wróżbiarskie, wronę i kawkę, a te, jak zapewnia handlarz Filokrat, zaprowadzą ich napewne do państwa ptaków, które latają nad całą ziemią i znają wszystko... Nad ptakami włada Dudek, niegdyś król tracki, przemieniony w ptaka przez bogów: on więc jako były Helleńczyk, zrozumie ich bóle i wskaże im takie miasto. Radolub i Dobromyśl (bo tak przezwał ich poeta) po długiem błądzeniu w górach, na śmierć zdrożeni, docierają wreszcie do ptaków. Spokoju jednak nie znajdują — i nic dziwnego! Wszędzie, dokąd zwrócą swe kroki, idzie wraz z nimi również ich wieczyste pragnienie czegoś nowego, ich attycki nieukojny temperament twórczy i nie pozwalająca nigdy odpocząć żądza czynu i władzy. Przyszedłszy do ptaków, Radolub odrazu wpada na kolosalny pomysł kulturalnego

zorganizowania królestwa ptasiego, założenia pomiędzy niebem a ziemią olbrzymiego grodu „Chmurokukulic“, odcięcia bogów, żywiących się dymem ofiar, od ziemi, wydarcia im władzy i zapanowania nad całym światem. W przecudnych partjach lirycznych, naśladujących wszystkie świegoty ptasie, z jakąś bakchiczną tanecznością roztacza poeta przed nami pospieszną akcję zgromadzeń ptasich, niespokojne narady nad wielkim planem, krasomówczy geniusz i niewysychający nigdy humor Ateńczyków, budowę grodu, małpiarstwo i nikczemność ludzi z ziemi, nienawiść starego wroga bogów Prometeusa, zniewieściałość i nędzę głodową Olimpu i wreszcie odebranie władzy ojcu Zeusowi. Tak snuje się przebarwna tęcza tej arcypoetycznej baśni komedjowej. A wszystko okraszone tysiącznemi alluzjami do rozlicznych wydarzeń aktualnych i całego tłumu ludzi żyjących. (Stąd trudno czytać Arystofanesa bez komentarzy, co bynajmniej nie tłumaczy z nieznajomości jego sztuk, gdyż przecie i Dantego nie można czytać bez komentarza). Jaka jest tendencja „Ptaków“? Za granicą napisano w tej sprawie setki rozpraw uczonych, mniej lub więcej trafnych, lub opacznych. U nas Szujski pierwszy dotknął tego przedmiotu i... pojął ideę utworu całkiem fałszywie, tak fałszywie, że możnaby zakwestjonować jego znajomość oryginału. Prof. Kazimierz Morawski, zakomity znawca Arystofanesa, zamieścił gruntowną rozprawę o „Ptakach“ w „Przeglądzie Polskim“. Zdaje się, że docieranie do nieomylnych wniosków w tym względzie nie jest konieczne: wystarczy stwierdzić, (a treść całego niemal utworu przemawia za tem), iż pomysł do tego utworu wyłonił się w duszy poety z nawpółświadomego pragnienia realizacji tego wszystkiego, czego brakło mu w życiu własnem i ojczyzny: bo przecież Arystofanes był prawdziwym patrjotą! Trzeba też wiedzieć, że w tych czasach nietylko w postaciach historycznych, ale w całym ludzie ateńskim widać jakieś tragiczne dążenie do potęgi i władzy, skrystalizowane w planach podboju całego morza Śródziemnego i Kartaginy i stworzenia wielkiego państwa, ogarniającego cały świat cywilizowany. (Program, który zrealizowali potem Rzymianie). I to wszystko skutkiem nędznego przypadku (proces hermokopidów) miało tak szybkie i tak ponure zakończenie! — Jeszcze kilka słów o Arystofanesie i jego przekładach u nas. Za granicą znany powszechnie i tłumaczony nieraz wzorowo (Droysen), u nas prawie nieczytany, mimo kilku wcale dobrych przekładów. Po Szujskim, który w przeciwieństwie do doskonałych przekładów tragedji, zwłaszcza „Prometeusa“ Ajschilowego, traktuje go pobieżnie i nieźródłowo, znam dobre miejscami wyborne, fragmenty przekładów Konarskiego, Lewestama i Mottyego. Przed kilkunastu laty widziałem na scenie krakowskiej „Lizystratę“ Koźmiana, przeróbkę niefortunną i dowodzącą, że (ani Goethemu: „Die Vögel“) nie wolno bezkarnie przerabiać Arystofanesa. Tłumaczyć należy go albo dosłownie, lub dać mu pokój. Zamieszczony poniżej przekład prologu „Ptaków“ jest próbą — o formie bynajmniej nie ostatecznej. Tłumacząc takiego poetę, trzeba się niemal usprawiedliwiać z tego kroku. Ponieważ jednak przekład kontynuuję, mam nadzieję, iż obcując z autorem, zdołam jeszcze niejedno poprawić. Jedyną zaletą mej próby, jak sądzę, jest dosłowność przekładu. Na zakończenie uwaga. Każdy, kto wejdzie w treść komedji Arystofanesowych, musi zauważyć na pierwszy rzut oka jaskrawy rozdźwięk pomiędzy jego ideami rodowo-obywatelskiemi i zwłaszcza religijnemi, sformułowanemi tak jasno w każdej komedji, a istotnym duchem jego dzieł. Nawet uwzględniwszy czysto helleński sposób pojmowania bóstw, zgoła odmienny od naszego, musimy spostrzec, że Arystofanes n. p. ideą „Ptaków“ sam w wysokiej mierze przyczynia się do bankructwa religji starogreckiej. Pochodzi to stąd, że poeta przez swoje najistotniejsze tęsknice twórcze jest rewolucjonistą. Podobnie jak Dante, który całe życie poświęcił dla obrony porządku średniowiecznego, a z całej swojej działalności jest pierwszym humanistą i budowniczym czasów nowych; tak samo Arystofanes z rodu i przekonań politycznych Eupatryda, z rasy i najgłębszych instynktów swej duszy jest takim samym nowatorem-burzycielem, jak Sokrates i Eurypides. I w tem tkwi najtragiczniejsza ironja Arystofanesa.

Lwów. *Józef Jedlicz.*

KOMEDJI ARYSTOFANESA

„PTAKI"

PROLOG

OSOBY:

RADOLUB } Ateńczycy
DOBROMYŚL }

DUDEK-TEREUS, król ptaków
STRZYŻYK, służebny króla.

Górska okolica — w głębi las. Dobromyśl i Radolub zbłąkani w skałach, ukazują się na scenie. Pierwszy niesie w ręku kawkę, drugi wronę.

DOBROMYŚL
(do kawki)

Więc prosto iść nam każesz, gdzie widać te [drzewa?

RADOLUB
(do wrony)

Żebyś pękła: ta flądra znowu nazad śpiewa!

DOBROMYŚL

I cóż włóczym się, ośle, bez celu, bez drogi?
Toć goniąc dalej, wkrótce na śmierć schodzim [nogi!

RADOLUB

O, że też nieszczęśliwy zawierzyłem wronie,
Toć już więcej jak sto mil tak bez celu gonię!

DOBROMYŚL

O, że też biedny z kawką umowę zawarłem,
Już mi nogi pękają i paznokcie zdarłem!

RADOLUB

A w dodatku, jak ślepcy, wciąż błądzim bezecnie.

DOBROMYŚL

Powiedz, zali do Aten trafiłbyś obecnie?

RADOLUB

Na Zeusa! Tu-by zmylił sam szpieg[1]) bystrooki.

DOBROMYŚL

Do kata!

RADOLUB

Tam już bracie sam kieruj swe kroki.

DOBROMYŚL

Na boga, podle okpił nas on ptasi kupiec
Filokrat, osowiały wiecznie mruk i głupiec!
Gadał, że duchem nas zawiodą te pokraki
Do Tereja, co z człeka stał się ptak nad ptaki.
Za kawkę, Tarralidy rodzone pacholę[2]),
Wziął obola, za wronę zaś aż trzy obole!
Lecz te szczypawki jeno szczypią, szczerząc dziuby,
Znów go rozdziawiasz! — Przecie nie chcesz na- [szej zguby
Wśród onych skał — stąd bowiem, wyznaję w po- [korze,
Nie znam wyjścia.

RADOLUB

Na Zeusa, prawdziwe bezdroże.

DOBROMYŚL

A cóż tam z twoją wroną? wiadomaż jej droga?

RADOLUB

Swoją starą piosenkę wciąż kracze na boga!

DOBROMYŚL

A cóż kracze na temat drogi?

RADOLUB

Chyba tyle,
Że mi palce ze złości odgryzie za chwilę...

DOBROMYŚL

Czyż to nie wstyd, że mimo palącej ochoty
Czmychnąć do krocset kruków, mimo trud, [kłopoty,
Teraz nijak tam trafić nie widzim możności!
Bo ból nas dręczy, o prześwietna Publiczności,
Odwrotny niż Sakasa, który obcy z rodu,
Natręt, niepilec, gwałtem wciska się do grodu,
A my, szczerzy tubylcy, mieszczanie bez plamy,
Co tchu, na łeb na szyję, z miasta uciekamy,
Choć z pradziadów tutejsi i nikt nam nie wrogi!
Lecz mimoto miłujem szczerze gród nasz drogi:
Niechże w promieniach mocy świetnie się rozplenia,
Hojnie każdemu sypiąc z publicznego mienia...
Wzdyć i świerszcze ćwierkają miesiąc, albo więcej
W cienistych sadach, lecz przesławni Ateńczycy
Ćwierkają całe życie: wciąż w sądo- [wej sali!
Nie dziw tedy, że w podróż myśmy się wybrali
Zaopatrzeni suto w mirt, kosz i naczynie[3]),
Szukając spokojnego zakątka jedynie,
Gdzie odetchnąć bez trudu nadzieja niepróżna...
Oto nas do Tereja[4]) żenie chęć podróżna,

---

[1]) W oryg. Exekestides, imię człowieka odznaczającego się natrętnem wszystkowiedztwem.
[2]) Syn Tarraleidesa, znany gaduła.

[3]) Przybory niezbędne przy zakładaniu kolonji.
[4]) Tereus, mityczny król tracki, miał za żonę Prokne, córkę ateńskiego króla Pandiona. Zdradziwszy żonę z jej siostrą Philomele, dla zatarcia śladów uciął kochance język i porzucił w górach. Żona dowiedziała się jednak o tem. Odszukawszy siostrę, w szale zemsty zamordowała wraz z nią syna Itylosa i potrawę z ciała jego przyrządzoną podała ojcu, poczem obie uciekły. Król ścigał zbrodniarki, na których modły wszyscy troje przemienieni zostali przez bogów w ptaki, mianowicie: Tereus w dudka, Prokne w słowika, Philomele w jaskółkę.

Co Dudkiem zwie się teraz: tam zasięgniem wieści,
Zali taki zakątek gdzie w świecie się mieści.

RADOLUB

Hej, ty!

DOBROMYŚL

Cóż?

RADOLUB

Moja wrona już chwilę poziera
Gdzieś w górę!

DOBROMYŚL

Moja kawka także dziub otwiera,
Jakby w górze coś chciało wskazać mi ptaszysko,
O zakład idę, że tu ptaki gdzieś są blizko!
Pójdź-że, naróbmy zgiełku, zobaczym odrazu —

RADOLUB

Lub wiesz co lepiej, uderz nogą w ścianę głazu.

DOBROMYŚL

A ty głową — podwójnie hałasujmy oba!

RADOLUB

Więc kamieniem wal w skałę.

DOBROMYŚL

Jak ci się podoba —
(puka)
Hej, chłopcze!

RADOLUB

C h ł o p c z e krzyczysz na dudka
[cymbale?
K u - k u ! masz wołać, c h ł o p c z e nie zrozumie
[wcale.

DOBROMYŚL

K u - k u ! — więc krzyczę teraz na rozkaz waćpana,
K u - k u !

STRZYŻYK
(wychodzi z gąszczy)

Kto ta? kto głośno woła mego pana?

DOBROMYŚL
(z trwogą)

Ratuj Apollo! coza gęba zakazana!

STRZYŻYK
(z trwogą)

Ojoj! jacyś ptasznicy, knujący coś złego!

DOBROMYŚL
(z trwogą)

Precz trwoga! lepiej mężnie przemówić do niego.

STRZYŻYK

Biada wam!

DOBROMYŚL

My nie ludzie.

STRZYŻYK

Nie? a cóż innego?

DOBROMYŚL

T c h ó r z jestem, ptak libijski, o ptasiej naturze.

STRZYŻYK

Brednie!

DOBROMYŚL
(wskazując na skutki strachu)

Spójrz mi pod nogi, obaczysz, jak tchórzę...

STRZYŻYK

A ty, cóżeś za ptaszek, mówże, nie masz głosu?

RADOLUB

Jam P u s z c z y k, co p o p u s z c z a, z krainy Do-
[nosu.

DOBROMYŚL

Lecz ty, coza zwierz jesteś, powiedzże na boga!

STRZYŻYK

Ptak-niewolnik.

DOBROMYŚL

Pobity? przez jakiegoż wroga?
Przez koguta?

STRZYŻYK

Gdzież znowu! — Kiedy mego pana
Los w dudka zmienił, wtedy ta ptasia przemiana
I mnie tknęła, więc ptakiem do służby mu staję.

DOBROMYŚL

Czyli i ptakom także potrzebni lokaje?

STRZYŻYK

Gdy pan, co niegdyś kształtem człowieczym się
[chlubił,
Chce naprzykład sardelek, które bardzo lubił,
Toć biegnę po sardelki, porwawszy za szalki,
Chce zacierki: trza garczka, sękatej rogalki —
Lecę ustrzydz ją w gąszczu —

DOBROMYŚL

Toś ty s t r z y ż y k zuchu!
Wiesz ty co, mój strzyżyku, skocz-że mi co duchu
I proś pana —

STRZYŻYK

Mój boże, kiedy zasnął świeżo,
Jagódek i komarów zjadłszy na wieczerzą —

DOBROMYŚL

Jednak zbudź go.

STRZYŻYK

Aż nadto wiem, że mnie ukarze,
Jak mu sen spłoszę: ino dla was się odważę...
(wychodzi)

RADOLUB

Żebyś pękł! Ledwie dyszę; toż zalał mi sadła!

DOBROMYŚL

Do krocset! moja kawka gdzieś w ziemię zapadła,
Spłoszył mi ją ten gamoń...

RADOLUB

O nikczemne zwierzę,
Sam ją z trwogi puściłeś!

DOBROMYŚL

A ty, mówno szczerze,
Nie puściłżeś swej wrony, gdyś runął, jak skała?

RADOLUB
Na Zeusa, nie ja!
DOBROMYŚL
Gdzież jest tedy?
RADOLUB
Odleciała.
DOBROMYŚL
Więc jej nie wypuściłeś? Mój ty bohaterze!
(D. n.).

Przełożył *Józef Jedlicz.*

BRONISŁAW SZWARCE.

PAMIĘTNIKI.

(1834 — 1903).

(Ciąg dalszy).

W Dynanie było ich sporo, mieli nawet anglikańską kaplicę i siostrę moją ochrzcił pastor anglikański. Rodzina moja przyjaźniła się z nimi, raz z powodu wyznania, a potem dlatego, że w obejściu byli bądź co bądź delikatniejsi, przyzwoitsi od francuskiego mieszczaństwa, przynajmniej porządniejsi z nich, co ani z butelką, ani z wyścigami nie mieli do czynienia. Pamiętam osobliwie typowego, dymisjonowanego marynarza, starego Bullforda, który za Napoleona grzmocił Francuzów, jak się należy, ale swoją drogą od 1815 roku mieszkał w Dynanie, prawie żadnych z miejscową ludnością nie mając stosunków; utworzył sobie czysto brytański zakątek, ze ślicznym ogródkiem, który należycie wypielęgnował. W tem angielskiem otoczeniu nauczyłem się nawet po angielsku, o czem później zupełnie zapomniałem i miałem się po kilku latach ogromnie zdziwić, kiedy mi przypomnieli, żem czytał biegle i rozumiał *The pilgrims progress* i *Valentine and Orson*[1]).

Z biegiem czasu, po szkole gminnej, prowadzonej przez białego Alzatczyka, którego włosy były dla mnie nadzwyczajnością, dostałem się do gimnazjum, czyli, jak tam mówili, do kollegium *(collège)* i staczałem za przykładem kolegów zawzięte bójki z uczniami szkół klasztornych czyli Braciszków nauki chrześcijańskiej *(Les frères de la doctrine chrétienne).* Nasze gimnazjum pomieszczone było swoją drogą w dawnym klasztorze, których mnóstwo po rewolucji skasowano i nawet w kaplicy były klasy. Z licznych przedrewolucyjnych klasztorów zostało się parę, odnowionych pod Restauracją (1815—1830) albo wówczas założonych; do tych ostatnich należą *Les frères Lamennais* (Braciszkowie imienia Lamenego). Bo ów sławny mistyk, a później demagog, pochodził z okolic Dynanu, gdzie widywałem nawet jego rodzoną siostrę, starą pannę, bardzo zwyczajnej powierzchowności; ale zdaje się, że sam ksiądz, już wówczas wyklęty, rzadko się w rodzinnych okolicach pokazywał. Ta fundacja nastąpiła zaś wcześniej, kiedy ów rodak i poprzednik Renana był jeszcze zapalonym ultramontaninem i legitymistą. Dziś mało kto jego wspomina, ale trzeba nam, Polakom, zapisać sobie w pamięci, że on to natchnął Mickiewiczowi, wówczas już przez Ankwiczównę w Rzymie „nawróconemu“, formę Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa polskiego.

Jeden tylko rok uczęszczałem do gimnazjum i dwa tylko mam z niego wybitne wspomnienia. Pierwsze o profesorze matematyki, zapalonym przeciwniku dziesiątnego rachunku i wielbicielu dwunastnego; tak mię potrafił przekonać, że się dotychczas trzymam jego zasady i nie widzę nic zachwycającego w całym metrycznym systemie, opartym jedynie na tem, że mamy dziesięć palców. Nie myślę jednak tutaj przytaczać dowodów, tem bardziej, że mój nauczyciel, jak się później dowiedziałem, dostał się do św. Jana Bożego, to jest po dynańsku do czubków. — Drugie wspomnienie dotyczy najokropniejszego urwisa z naszej klasy, niejakiego Bouderota. Ponieważ karceres mu nie pomagał, bo dostał się do ościennej piwnicy dyrektora, gdzie potłukł nie wiem ile butelek wina bordoskiego i spoczął pijany w czerwonem morzu — proszę pamiętać, że mowa o dziesięcioletnim chłopaku — zamknięto go na samym wierzchu dawnej klasztornej dzwonnicy. Warchoł obwiązał sobie ręce chustką i spuścił się po drucie gromochronu z wysokości czterech piątr; dłonie przeciął, ale uciekł. Wypędzonego ze szkoły oddał ojciec na chłopca okrętowego i co się z nim później stało, nie wiem; z takich wychodzą albo bohaterzy albo zbrodniarze.

Choroba mojej matki zbliżała się do ostatniego kresu; tęsknota za krajem pomogła prawdopodobnie wpływowi klimatu, a zawiedziona nadzieja chorą dobijała. Bo owe tęczowe ułudy, któremi się karmiła emigracja 1831 roku, nikły

[1]) *The pilgrims progress* (Wędrówka pielgrzyma) Jana Bunyana, powieść alegoryczna, jedno z najpopularniejszych angielskich dzieł; Valenty i Orson, klechda angielska.

powoli i w całej Europie zapanowała najnędzniejsza, Meternichowska reakcja. Wierzono jeszcze przed kilkoma laty, że lada dzień ludy zrzucą jarzmo absolutyzmu i klerykalizmu, że wojownicy z pod Grochowa wrócą zwycięsko do Warszawy na czele wojska konstytucji, wolności i powszechnego głosowania — a tu główna podpora tej wiary, rewolucyjna Francja zdradziła sprawę ludów, przyznała Austrję we Włoszech, Rosję w Polsce i bawiła się tępieniem Arabów w Algierze. Że powszechna nadzieja była zupełnie uzasadnioną, że utopistami byli stronnicy Meternicha, Grzegorza XVI. i Mikołaja, miały wkrótce pokazać rok 1848 i wojna Sewastopolska — ale „nim słońce zajdzie, rosa oczy wyje" i biednym moim rodzicom wygnanie oczy wyjadło. Matka moja, przytomna do końca, oddała Bogu duszę, pobłogosławiwszy nas 10. marca 1844 roku, dzień w dzień przed pięćdziesięcioma dziewięcioma laty — poprzedziła ją była o kilka miesięcy, także na suchoty, najlepsza jej dynańska przyjaciółka, Wirginia H e d a l o w a. (C. d. n.).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

A cóż dla Lwowa? Kilka uwag na czasie. Napisał dr. Bronisław Czarnik. Lwów 1906. W broszurze niniejszej, ciepłem miłości dla naszego grodu owianej, podnosi autor ogałacanie się Lwowa ze zabytków historji i sztuki na rzecz muzeów w Krakowie. Zwłaszcza w ostatnich czasach ofiarność poszczególnych jednostek kieruje się głównie w stronę podwawelskiego grodu tak, że nawet całe, duże zbiory prywatne mają się tam przenieść. Nie zazdroszcząc wcale Krakowowi, zapytuje jednakże autor: „A cóż dla Lwowa?" i chciałby zupełnie słusznie, aby ofiarność zbieraczy prywatnych pamiętała także o lwowskich muzeach. Niestety jednak, chociaż autor tego nie mówi, stwierdzić należy, że Kraków potrafi zdobyć się nawet na ciężkie ofiary na rzecz swoich muzeów, podczas gdy we Lwowie takie naprzykład archiwum miejskie nie może znaleść nawet odpowiedniego pomieszczenia, o galerji miejskiej, mimo darów prywatnych, słych nawet zaginął, a istniejące muzea i bibljoteki prowadzą, z wyjątkiem niektórych, żywot bardzo ociężały. Nie jest oczywiście zachęcającem dla prywatnych zbieraczy lokować swoje zbiory we Lwowie, ale broszura p. Czarnika może wzbudzi u decydujących czynników wyrzuty sumienia i chęć poprawy. Oby tylko zmiana na lepsze w zapatrywaniach na kulturną wartość bibliotek i muzeów nastąpiła co rychlej, zanim Lwów nie zupełnie jeszcze ogołoci się z zabytków przeszłości!

Gertruda Potocka i odkrycie jej grobowca w Witkowie, napisał Józef Chołodecki. Lwów 1906. Jest to niejako sprawozdanie autora z odkrycia grobowca Gertrudy z Komorowskich Szczęsnowej Potockiej (starościny bełzkiej) a „Marji" w powieści ukraińskiej Antoniego Malczewskiego, w Witkowie, między Brodami a Krystynopolem. W grobowcu tym zachowały się jeszcze zwłoki bohaterki poematu Malczewskiego w tak dobrym stanie, że autor mógł podać nawet niektóre ciekawe szczegóły z wyglądu fizycznego Gertrudy Potockiej. Wobec tego, że miejsce jej wiecznego spoczynku nie było dotychczas znane, jest broszura p. Chołodeckiego ważnym przyczynkiem do kwestji, którą obok Malczewskiego zajmował się także J. I. Kraszewski i inni historycy.

Emil Boutmy: Zarys psychologji narodu angielskiego w *XIX. w. — Tłóm. B. O. Lwów 1906. Polskie Tow. nakładowe.*

Dzieło niniejsze należy do rodzaju tych niewdzięcznych dzieł naukowych, które oprzeć się muszą na bezwzględnej syntezie. Aby mówić o psychicznych właściwościach Anglika, trzeba go znać doskonale; aby go znać, trzeba odbyć nużącą wędrówkę przez wszystkie tereny umysłowości angielskiej; trzeba poznać Anglika jako jednostkę tworzącą kulturę, jako człowieka prywatnego, jako zwolennika danej partji, jako człowieka moralnego i społecznego: jednem słowem trzeba przebyć gruntowne i szczegółowe studja przygotowawcze w każdym zakresie życia tej rasy, poczynić w każdym z nich syntezy, a te następnie na nowo w jedność zsyntetyzować. Tej drogi się trzymać nakazuje teorja badań naukowych. Jeśli jednak komu wyda się tego rodzaju metoda zbyt długą i zbyt nużącą, może się oprzeć na instynkcie i sprycie (o ile go ma) i, pochwytawszy cały szereg faktów, uogólnić je. Niniejsza praca znakomitego członka Instytutu ma w sobie wszelkie dodatnie i ujemne cechy jego rasy. Pisana niezmiernie barwnie i ciekawie, umie zająć, ba! nawet przykuć do siebie czytelnika. Umie także i ułatwiać myślenie czytelnikowi, narzucając mu szereg zgrabnych i wykwintnych definicji, określeń, wytłómaczeń, rzuconych z takim wdziękiem i naturalnością, tak lekko i tak popularnie, że przyjmuje się je bez zastrzeżeń, jako najzupełniej oczywiste. Wbrew zwyczajowi uczonych n. p. niemieckich, nie obciąża autor swego dzieła balastem dat i faktów, z których wywiódł swoje uogólnienia. Materjał statystyczny ukryty dyskretnie — rezultaty natomiast wybijają się na plan pierwszy. Tego rodzaju metoda w pisaniu, jakkolwiek utrudnia w znacznej mierze weryfikację rezultatów, jeżeli chodzi o treściwe i powabne przedstawienie rzeczy, jest niewątpliwie jedyną.

Prócz faktów skonstatowanych i sprawdzonych, oświetlał autorowi ciemny labirynt psychiki rasy anglo-saskiej także i instynkt — ten pyszny, świetny, nigdy nie zawodzący instynkt Francuza. Starczy on nieraz za mozolną indukcję, a już prawdziwe święci tryumfy tam, gdzie indukcja staje się niemożliwą do przeprowadzenia.

Autor podzielił materjał na cztery części; pierwsza omawia psychiczne braki i zalety rasy angielskiej: jej zdolność percepcyjną, wolę, twórczość, ideały metafizyczne i artystyczne; druga — środowisko, na tle którego rozwinął się popularny dzisiaj typ Anglika; trzecia — tłómaczy nam jego charakter towarzyski, moralny, społeczny; czwarta nakoniec jego politykę.

Ze względu na szczupłe ramy niniejszej recenzji nie możemy wdawać sie bliżej w żadne szczegóły. A szkoda; wszakże pewne właściwości narodu angielskiego stały się źródłem jego kulturalności, bogactwa i potęgi. Z tych właściwości należy podnieść przedewszystkiem żelazną wolę. Anglik jest człowiekiem czynu i koło tej osi obraca się całe jego życie duchowe i społeczne. Może on służyć za wzór innym — słabszym od niego. I dlatego omawiane dzieło dla nas przedewszystkiem powinno mieć wartość pierwszorzędną.

T. Mianowski.

Drukiem „DRUKARNI POWSZECHNEJ" we Lwowie, ul. Akademicka l. 8.